

Franciszek Piątkowski Legenda tamtych lat

I. LIST OD NIEJ

Jedenaście lat temu wyjechałeś do Szwecji. Pojechałeś tam z matką jako dziesięcioletni chłopiec. Wiem też, że dzisiaj jesteś przystojnym, wysokim mężczyzną: metr osiemdziesiąt sześć — jak z odcieniem dumy mówi twoja babka. Nie wiadomo, czy wrócisz. Są to projekty, a raczej przypuszczenia, bo skoro potrafisz powiedzieć: „babciu, to się opłaci” w sytuacji, gdy wcale się nie opłaca, to dlaczego nie?

A propos: twoja babka, kiedy miała tyle lat co ty dzisiaj, też była daleko od Polski. W Szkocji. W zbiorze jej dokumentów zachował się arkusz papieru z nagłówkiem Auxiliary Territorial Service. Podpis złożony na drugiej stronie arkusza i data — 26 September 1946 — potwierdzają, że IRENA SZCZEPOWSKA urodzona w majątku Sołowin, powiat Łuck, województwo wołyńskie zgłosiła się do służby w Pomocniczej Wojskowej Służbie Kobiet Polskiej Sekcji Przystosobienia. Przy wytwornie, w stylu staroświeckiego dżentelmena sformułowanym pytaniu: „ile lat skończyła pani w dniu ostatnich urodzin?” — twoja babka wpisała liczbę: 21. W tych dwudziestu jeden latach zawarte są trzy obszerne rozdziały jej życiorysu.

Rozdział pierwszy

to Wołyń, spłacheć ziemi nad Stochodem. Jest to rzeka znana z czasów pierwszej wojny światowej, z brzegami zrytymi parowami niekończących się okopów. Okopy, nieużytki, lasy i grunty uprawne zajmowały powierzchnię około 150 hektarów. Te hektary plus chatynka, jeden koń i dwoje ludzi to był właśnie majątek Sołowin, własność rodziców twojej babki. Nazwa brzmi trochę obco, bo słowik po rosyjsku to sołowiej.

Od wojny do wojny w Sołowinie zaszło sporo zmian.

Po pierwsze: chatynkę zastąpiono trochę większym domem wzniesionym przez starowierców, niezrównanych mistrzów ciesiołki. Ci, kiedy stawiali dom, postawili też wróżbę. Wyszło im, że żaden z właścicieli Sołowina nie umrze w Sołowinie i tak się stało.

Po drugie: w domu przyszło na świat troje dzieci, w tym najmłodsza, Irena, urodzona 31 stycznia 1925 r. Jej matka, z domu Mianowska, pielęgnowała dzieci, ogród i legendę o stryjecznym pradziadku. Józefie Mianowskim. Pradziadek, jak wiadomo, dał początek i nazwę Kasie Mianowskiego, a Warszawa dała mu ulicę: odchodzi ta ulica w bok od ulicy Filtrowej.

Po trzecie: w Sołowinie przybywało nie tylko ludzi, ale i zwierząt. Irena, kiedy miała siedem lat, zupełnie nieźle doła krowy, a do tego — jak to się mówi — miała na głowie kurnik. Przyjaźniła się też wielce z psami i kotami. Tych ostatnich było zawsze za dużo, a w dodatku były to same kocice. Po prostu dziki, leśny kot, namiętny amoroso przez całe lata nie płodził męskiego potomstwa i dopiero przed samym wybuchem drugiej wojny udało mu się poprawić strukturę kociego stada. Nowo narodzony był zwinny, dziki i czarny jak diablątko,

albo jak kruk obwieszczający w filmach Bergmana zbliżającą się katastrofę. W takiej roli widzi go dzisiaj twoja babka.

Rozdział drugi

rozpoczyna się w Kiwercach. Twoja babka miała wtedy czternaście lat, trochę wspomnień, a także visa подарowanego jej przez podchorążego w sołowińskim domu. Dlaczego o nim pamięta? Może dlatego, że poza tym visem nikt niczego ważnego z Sołowina nie zabrał, a może dlatego, że vis przypominał o tłumach ludzi, jacy przeciągnęli przez sołowiński dom we wrześniu 1939 roku. Tak czy inaczej z pistoletem były kłopoty, bo kiedy w kwietniu 1940 roku przynieśli decyzję o ewakuacji — akurat moczył się w nafcie. Skończyło się jednak niezłe: „czwórka do brydża” — a więc ojciec, matka, Irena i jej siostra Maruta — po dziewiętnastu dniach jazdy wylądowała w Pawłodarze nad Irtyszem, a vis zatopiony w nafcie, pozostał w Kiwercach, w domu przyjaciółki siostry Maruty.

Rozdział trzeci

w życiorysie twojej babki rozpoczyna się po zawarciu układu Sikorski — Majski. Dokładnie z 12 na 13 października, kiedy szesnastoletnia panna wyruszyła w drogę, aby zaciągnąć się do polskiego wojska, panna miała ze sobą kilka zdjęć i woreczek kurtu czyli kazachskiego sera. a przed sobą trzy miesiące wędrówki w poszukiwaniu polskiej armii. W czasie tych trzech miesięcy zdążyła zostać traktorzystką w sowchozie pod Samarkandą i zarobić tam bardzo dużo pieniędzy, które ukradziono jej następnie w Taszkencie. Zdążyła też odchorować malarię i — co bardzo ważne — zdążyła ukończyć siedemnaście lat. Kiedy więc odnalazła polskie wojsko w Kermine i powiedziała, że chce do tego wojską wstąpić — bo ma już lat 18 — nie było żadnych wątpliwości, że jeśli chce, to może sobie wstępować. Potem była przeprawa przez Morze Kaspijskie, a następnie Persja, Palestyna, Egipt i Włochy. Nie można oczywiście zapomnieć, że w tej wędrówce były wydarzenia ważne i wielkie, związane z wielką historią, ale nas interesują przecież wydarzenia związane bezpośrednio z twoją babką. Otóż warto pamiętać, że u początku wojskowej wędrówki dopadł ją tyfus i pozbawił włosów, pamięci oraz kilkunastu kilogramów wagi. W drodze odrosły włosy, wróciła pamięć i utraczone kilogramy, a babka uzyskała kwalifikacje kierowcy i stanowisko dowódcy plutonu. W tym plutonie były zresztą same dziewczyny, które woziły wodę, zaopatrzenie i amunicję. Dzięki temu nie musiały zabijać — tak, jak ich koledzy. Natomiast przy końcu wędrówki, już we Włoszech, babka otrzymała postrzał w klatkę piersiową i trzeba, ją było ewakuować do Anglii. Tytułem uzupełnienia dodajmy, że gdyby we Włoszech nie zastosowano w leczeniu cudu XX wieku — penicyliny — ewakuacja byłaby całkowicie bezprzedmiotowa.

W zakończeniu tego listu chciałbym ci się przyznać, że z konieczności pomijam niezliczoną ilość barwnych opowieści jakie można wpisać w ramy tych trzech, powyżej skonspektowanych rozdziałów. Jeżeli kiedyś poprosisz babkę i utrafisz w dobrą chwilę, opowie ci może o swoich szkolnych latach w Lublinie, Łucku i Warszawie, o bezsensownej ucieczce z Sołowina aż pod Lublin po 17 września 1939 r., albo o tym, jak była stepowym sliwkowozem w Kazachstanie. Wiesz co to jest sliwka? Po rosyjsku — śmietana. Twoja babka, sama samiuteńka, woziła ją do zlewni odległej od kołchozu o kilkadziesiąt kilometrów i bardzo bała się wilków. A wiesz czego się bały wilki? Walenia drutem w pustą bańkę i wiechci płonącego siana.

Myślę też, że niezależnie od tych opowieści sporo mógłbyś skorzystać z lektur. Na przykład z Wańkowicza, Pruszyńskiego i Krzysztonia. Notabene z Krzysztoniem, autorem „Wielbłąda na stepie”, babka studiowała w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim już po powrocie do Polski. To tyle — w największym skrócie — o dzieciństwie i młodości Ireny Szczepkowskiej.

II. ROZMOWA O NIEJ

Szliśmy przez Lublin — mówiliśmy o ludziach. Ponieważ byliśmy źli (bo mieliśmy powód) — mówiliśmy źle (bo mieliśmy o czym). Wiatr był wściekle ostry, deszcz był bardzo gęsty i wiatr próbował zalewać nam gęby tym deszczem, ale bezskutecznie.

Janusz Fifowski, aktor, mówił mniej więcej tak: „W Lublinie rządzą rody i rodziny, a pomyślane to jest z finezją, bo one rządzą nie w komitetach i urzędach, ale w wybranych dziedzinach. Są jak rozłożyste drzewa z odgałęzieniami ciotków i pociotków, szwagrów i kumów. Grześkowiak, mówię ci, nie bez kozery każdemu walił »kumie« i sam nazwał się kumem. To nasze, lubelskie”.

Maria Perkowska, aktorka i wykładowca w białostockim Wydziale Aktorskim warszawskiej PWST, mówiła mniej więcej to samo, ale trochę inaczej: „Lublinowi nie brak tylko jednego — ambicji. Gdyby zsypać je na kupę, to byłby Giewont. Ale ludzi, takich pojedynczych ludzi lekceważy, za nic ma, zapomina. Na wołowej skórze można by spisać takich zapomnianych. Na przykład Szychowa...

— Kto?

— No, Irena Szychowa. Szczepowska.

— A! Szychowa.

— No właśnie.”

Od tej chwili przez pół Krakowskiego Przedmieścia, przez całą ulicę Hanki Sawickiej i Kowalską aż do Placu Zebrań Ludowych nie mówiliśmy źle, bo nie mieliśmy powodu i byliśmy lepsi, bo mieliśmy dla kogo. Ja pewnie mniej, ale oni oboje stąd z Lublina, od Ireny Szychowej właśnie, z „Zamku”. Rozwijali więc przede mną barwny rulon z legendą, a na jego zwojach odwijanych z pamięci była ONA: panna, madonna, legenda tamtych lat.

Czego ona tu nie stworzyła, mój Boże!

Jaka to ona nie była!

Stworzyła u siebie na Zamku grupę plastyków „Zamek” z Włodzimierzem Borowskim, Janem Ziemskim, Jerzym Ludwińskim i tak dalej. Stworzyła grupę fotografików „Zamek” z Andrzejem Polakowskim, Zbigniewem Zugajem, Janem Magierskim, Januszem Urbanem i tak dalej. Stworzyła klub „Zamek” i tu właśnie narodził się dla całej Polski teatr przy stoliku, a szefem tego klubu był Mirosław Derecki. Stworzyła foto-klub „Zamek” i Amatorski Klub Filmowy „Zamek”, który brał na festiwalach nagrody jak chciał. Stąd jest Joanna Rawik i Piotr Szczepanik, stąd Perkowska i Fifowski oraz inni aktorzy, jak Regina Załuska Czy świętej pamięci Kazik Lutomski. Z „Zamkiem” związany był Robert Satanowski i Antoni Cwojdzinski. I jeszcze, z ludzi teatru, Zdzisław Dąbrowski, ten znakomity reżyser radiowy, to raz; reżyser Jerzy Goliński, teraz w Krakowie, to dwa; Jadwiga Grossman, dzisiaj we Wrocławiu, to trzy. I tak by można długo jeszcze. Aha! Tu bywał przecież Jacek Woszczerowicz, Jan Maciejewski, Halina Mikołajska, Wojciech Siemion, Zofia Małynicz,

Lidia Zamkow, Jadwiga Mierzejewska. A! i Ruth Sorel, żona Choromańskiego. No! i przecież Anna Tatarkiewicz. Uwierzysz?

— A dlaczego nie?

— Bo tu k.j.m. — wyraził się nieobyczajnie Janusz Fifowski w słowach powszechnie uznanych za obraźliwe — nie chce się pamiętać. A przecież d.k.n. — wyraził się Janusz Fifowski po raz drugi w podobnych słowach — to jest złoty depozyt tego miasta, jego dziedzictwo.

— Co proszę?

— E, nic. „Lublin nad łąką przysiadł, sam był — i cisza”. Przysiadł i cisza! Wieszczem był Józef Czechowicz, nie?

III. JEJ OPOWIADANIE

Irena Szychowa była mocno zajęta jutro, pojutrze i przez kilka następnych dni, bo jak się jest przewodniczącą Komitetu Osiedlowego w dzielnicy Stare Miasto to roboty jest po łokcie, a jak jest się przewodniczącą tego komitetu przez 21 lat to roboty jest jeszcze więcej. Więc kiedy? Może w niedzielę? Dobrze: jest niedziela. Czeka na mnie przy Placu Zebrań Ludowych. Celowo. Na tym placu, przed schodami, które pną się wysoko, wysoko aż do zamkowych wrót stanął kiedyś Bolesław Bierut i, patrząc na Zamek, powiedział: „Po lewej będzie dom kultury, a po prawej muzeum”. Bierut umarł, ale decyzja pozostała i od roku 1956 do roku 1972 był w lubelskim zamku Lubelski Dom Kultury „Zamek” i Muzeum Okręgowe w Lublinie. Do roku 1970, a więc przez lat piętnaście Lubelskim Domem Kultury kierowała Irena Szychowa z domu Szczepowska. Jak do tego doszło?

— W Szkocji, kiedy goniłam braki w swojej edukacji, znalazłam wiersz Łobodowskiego. Lublinianina przecież, z kręgu lubelskiej awangardy, z pokolenia Czechowicza. To był wiersz napisany w 1941 roku, a Łobodowski prorokował w nim klęskę Mussoliniego i Hitlera. I były tam takie wersy: „I nieraz widziałem nocą, jak w renesansowym Zamościu pod rękę z Polskim kanclerzem szedł Medyceusz i Sforza”. Proszę pana: mój brat był też poetą, z pokolenia młodszego od Czechowicza. Publikował w „Dźwigarach”, zapowiadał się świetnie według znawców przedmiotu, ale brat rozbrojony został nad Sanem w 1939 roku i już do nas nigdy nie wrócił. My zaś, wyjeżdżając z Kiwerc, zabraliśmy trochę zabawnie niepotrzebnych rzeczy, ale nie zabraliśmy grubego pliku rękopisów brata. Zdążyliśmy nawet zabrać karty do brydża — rękopisów nie. Zostały razem z pistoletem marki vis. (...)

W 1946 roku w Szkocji, w szkole, dotarła do mnie pierwsza wiadomość z Polski. To była karta informacyjna, że poszukuje mnie mama i siostra z Lublina. Osiedły tu, u mojej babci ze strony mamy. U tej samej, u której mieszkał przed wojną mój brat i ja — kilkunastoletnia, uczennica. To była radość, bo w swojej wędrówce przez Persję, Palestynę, Egipt i Włochy z każdego postoju wysyłałam karty w poszukiwaniu mamy i Maruty — i nic. Spotkałam wprawdzie świadka śmierci mojej mamy, ale nie uwierzyłam. Gdzie jest siostra — nie wiedziałam. Że ojciec na zawsze pozostał w Kazachstanie — tak, wiedziałam, bo zmarł, przy mnie po zimie głodu i mrozu z czterdziestego na czterdziesty pierwszy, kiedy to wykradaliśmy krowom otręby. Głodni wtedy byliśmy wszyscy: i my, i Kazachowie, i krowy. Różnica ta tylko, że krowy nie potrafiły kraść. (...)

No więc jak dostałam w Szkocji tę kartę, nie było wahania. A, oczywiście: nie podawano mi ręki, zaś działania repatriacyjne trwały w nieskończoność. Wreszcie na statku typu wieża Babel — bo płynęły nim żony i narzeczone, Szkotki, Włoszki, Francuzki i Mulatki — wypłynęłam ze Szkocji. Jako jedyna osoba ze stopniem wojskowym zostałam mianowana szefową tego całego babskiego bałaganu i dopłynęłam z nim, w maju 1947 roku, do Gdańska. Powitanie było smutne, bo ci, co nas witali byli odgradzeni od nas siatką. Wystawiono mi „Zaświadczenie numer 581828”, w którym „zaświadcza się, że obywatelka sierżant Szczepkowska Irena, córka Waclawa i Janiny urodzona 31 stycznia 1925 roku w Sołwinie powiat Łuck przybyła do Polski z terytorium Anglii i dnia 31 maja 1947 r. zarejestrowała się na Punkcie Przyjęcia”.

Trzy dni spędziłam w Gdańsku. Byłam u rodziny, chodziłam do restauracji. W Anglii straszono nas, że w Polsce jest głód, a ja z bezgranicznym zdziwieniem patrzyłam jak tu jedzą i jak tu piją. Może to pana zaskoczy, ale to właśnie dziwiło mnie najbardziej. (...)

Ponieważ udało mi się sformować wagon do Lublina — jacyś młodzi chłopcy postanowili mnie za to ufetować. Dokładnie trzy razy w życiu byłam pijana i wtedy właśnie zdarzył się ten jeden z trzech razy. Kiedy więc już w Lublinie mama i siostra wiozły mnie kulawą dorożką przez Nową Drogę do domu na Głowackiego, patrzyły ze współczuciem, że jestem tak strasznie zmęczona. A ja pamiętam piękną scenę, już z domu. Rozpakowałam swoje toboły i wyciągnęłam z nich woreczek cukru, jaki udało mi się zaoszczędzić z przydziałów kartkowych w Szkocji. Mama i Maruta dostały wtedy ataku histerycznego śmiechu.

Do Polski wróciłam za późno. Były już tutaj pierwsze zwiastuny świadczące, że stalinowska teza o zaostrzającej się walce klas w procesie budowania socjalizmu zaczyna materializować się w praktyce. Bałam się więc tej ideologicznej zimy i bałam się chodzenia po pracę, bo co wypełniłam ankietę, to praca wyfruwała mi sprzed nosa. Na pewien czas przytulił mnie jednak ZBoWiD, a potem pojawiła się osoba z Frontu Jedności Narodu Przyzwoitych Ludzi. Czy była taka organizacja? A nie, nie było. To tylko ja sama tak sobie porządkuję świat i wierzę w istnienie takiego frontu. Kto to był, ta osoba? Ja nazywam ją moją matką chrzestną. (...)

Właśnie ona. Wanda Papiewska, siostra Jana Hempla, taka lubelska Stefania Sempołowska, która — jak trzeba było — jeździła do Bieruta i wyciągała ludzi z opresji krańcowych i ostatecznych, otóż właśnie ona zaopiekowała się najpierw moją siostrą, tą pisarką, a potem mną. Maruta została dziennikarzem w „Sztandarze Ludu” i podobno pisała bardzo dobre reportaże, a ja zostałam bibliotekarką w robotniczej bibliotece na Kapucyńskiej. Byłam tam przez dwa lata i było mi dobrze. (...)

Potem pracowałam w Liceum Sztuk Plastycznych. Ale wie pan, ja mam takie pieskie szczęście. Jak jest dobrze, to nie ulega wątpliwości, że w tym dobrze jest jakaś pułapka i musi się wkrótce zepsuć. No i zepsuło się. Szkołę objął niejaki Głuszyk, a ja przeszłam do Wydziału Kultury, gdzie szefował pan Brodziak: dobry plastyk, znakomity społecznik. A więc poprawiło mi się. Za jego czasów, a było to chyba w 1953 roku, omal nie wyrzucili mnie z roboty. Za co? Ano zrobiłam pierwszy festiwal śpiewaków ludowych w lubelskim Ratuszu i Ratusz został obrażony pieprzną przyśpiewką. Chyba o dupie. Ale i tak się popsuło. Na miejsce Brodziaka przyszedł Wallner, twierdził, że jest pełnomocnikiem KC i zakładał

spółdzielnie produkcyjne. Przy mojej pomocy także. Kiedyś wyprawił mnie na żniwa do Spółdzielni Produkcyjnej „Malinówka” koło Łęcznej. Tam popisywałam się układaniem stert i przez dwa tygodnie byłam szczęśliwa. Po dwóch tygodniach dostałam polecenie, żeby jeszcze zostać w „Malinówce”. Sama radość! Po następnych dwóch tygodniach, opalonej i zbratanej, spółdzielcy zaproponowali funkcję przewodniczącego spółdzielni, ale nie wykorzystałam. To tak samo prawie jak z moim ojcem, któremu w 1939 roku chłopci z okolic Sołowina zaproponowali, żeby Solowin przekształcić w spółdzielnię produkcyjną, a on żeby został jej przewodniczącym. Ale ojciec też nie skorzystał i wyjechaliśmy do Kiwerc. Sprawa Zamku. Przypomniał ją władzom Kazio Spólnicki ze „Sztandaru Ludu” i to on podpowiedział, że ja powinnam kierować Lubelskim Domem Kultury, jaki trzeba na Zamku zorganizować.

Sprawa zaczęła się w dobrym, 1956 roku. Wtedy wychodził z uczelni rocznik «ludzi wyjątkowych i to oni zdecydowali o tym, czym był „Zamek”. Byli wśród nich, tak jak pamiętam, Staś Weremczuk, Halina Księżka, Józef Zięba, uczennica Zelwerowicza — Jadzia Grossman. Pojawił się też Jerzy Goliński zniechęcony sytuacją w Teatrze Dramatycznym i wielu, wielu wartościowych ludzi z zewnątrz, bo ja uważałam, że...

Otóż ja uważam, że Lubelszczyzna jest naprawdę zagłębiem kulturalnym. Chodziło jednak o to, aby wiedzieć, kogo należy pielęgnować, komu stworzyć warunki do rozwoju, komu podać rękę. Zorientowałam się też szybko, że działających w Lublinie i rozsianych po terenie animatorów trzeba trochę podszkolić, a trochę upewnić w możliwościach. Stąd też zawsze przykładałam wagę do tego, by mieli oni kontakt z najlepszymi fachowcami. Stąd na Zamku bywało tak wielu tak znakomitych ludzi. Trudno byłoby wymienić wszystkich.

Ile było zespołów, jakie formy pracy? Mój Boże: dużo tego było, chyba zbyt dużo. A poza tym czy uwierzy pan, że „Zamek” zamykany był tylko trzy razy w roku? W pierwszy dzień Bożego Narodzenia, w Nowy Rok i w pierwszy dzień Wielkanocy, a tak czynny był na okrągło, dzień w dzień od szóstej rano do dziesiątej wieczorem? (...)

Wyrzucili mnie w 1970 roku, na rok przed przeprowadzką Wojewódzkiego — jak wówczas — Domu Kultury na Podgrodzie.

— Dlaczego?

— Myślę, że przyczyn było kilka. Pierwsze niebezpieczeństwo kryło się w nadmiernej rozbudowie działań i form pracy, chociaż wiedziałam, że kultury nie powinno się robić w takich fabrykach. To jest w ogóle błąd w organizacji naszego życia kulturalnego. Po drugie był to czas po odejściu z instytucji centralnych wielu ludzi, z którymi można było dyskutować. W Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego zabrakło Janiny Ludawskiej, zabrakło też, na przykład, Czesława Kałużnego. Po trzecie ja nie miałam, i nie mam, pełnego wyższego wykształcenia, a to zawsze jakoś mnie krępowało, wytwarzało kłopotliwą świadomość, że za mało wiem.

— Nie mogła pani dokończyć zaocznie?

— Co by to zmieniło? Przecież moje studia na KUL-u były tylko jedną z licznych ewakuacji, niepotrzebnych. Dlatego je przerwałam. Ale, wracając do tematu, to było też po czwarte i po piąte. Otóż po czwarte ja byłam jedynym bezpartyjnym dyrektorem WDK w Polsce, a po piąte — nie wolno obrażać nawet najmniejszych bogów.

— Nie rozumiem.

— Wie pan: ja miałam taką metodę, że jak próbowano kogoś wykończyć w terenie, to zabierałam go do Lublina. Tak znalazł się w „Zamku” na przykład Rysiek Królikowski, obecny dyrektor Muzeum Wsi Lubelskiej. No i w terenie właśnie, w Chełmie, ówczesnemu wojewodzie doniesiono, że ja jestem podejrzana.

— O co takiego — podejrzana?

— A to nieważne. Podejrzana i już. Epitet bez dowodów i bez pokrycia. Ale ja nie tylko obraziłam bożka w powiecie. Ja także zgrzeszyłam obrażając powagę majestatu biurokracji i kontroli.

— Bardzo?

— Mnie wydawało się, że ani trochę, a było to tak. IKR prowadził kontrolę w Miejskim Domu Kultury, niezależnym już wtedy od „Zamku” i samodzielnym. Zarzucano im jakieś śmieszne i nieistotne rzeczy, więc ja powiedziałam do Adamskiej: „ty mów, że to ja kazałam tak robić”. No to przyszli do nas i zaczęli pieczętować biurka.

— A potem sprawdzać, o kryją tajemnice pieczęci?

— Tak. I znaleźli. Pracowała u nas córka dozorczyń. Miała 17 lat, a ja traktowałam ją prawie jak własne dziecko. Właśnie dla niej zabrakło do bilansu czterystu złotych i przez te głupie czterysta złotych odebrała sobie życie. Powiesiła się. Wtedy coś we mnie pękło. Dostałam szału. Zaczęłam robić piekło. Posłałam do Wójcika z interwencją, a on mi powiedział, że ja go szantażuję. Nie chcę o tym mówić. Nie mogę!

IV. PROTOKÓŁ

Uchwała Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie z dnia 24 II 1970 r. Nr 47/262/70 składa się ze wstępu, sześciu paragrafów i dwóch podpisów. Paragraf drugi stanowi: „odwołać z dniem 28 lutego 1970 r. ob. Irenę Szych ze stanowiska dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie...”

Za co?

Uzasadnienie wniosku „o odwołanie ze stanowiska dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie” zdradza, że „kontrola przeprowadzona przez Inspektorat Kontrolno-Rewizyjny w Lublinie stwierdziła szereg nieprawidłowości na odcinku gospodarki finansowej”.

Zróbmy więc przegląd tego „szeregu” w pozycjach najpoważniejszych, bo przecież nie będziemy dociekać po latach dlaczego Elżbieta Kuśmicka nie uregulowała wpłaty w wysokości 940 zł za odsprzedane rajtuzy.

Z protokołu (strona 15 i 16) wynika, że bezprawiem było udzielenie przez WDK dotacji dla stołówki prowadzonej przez Radę Zakładową WDK. Wartość tego bezprawa sięga sumy 17.250 zł. Bezpodstawne było też pokrywanie kosztów posiłków i noclegów dla uczestników konwersatoriów i seminariów (przejedli oni i przespali 46.866 złotych i 75 groszy). Bezpodstawny był zakup odzieży ochronnej dla pracowników WDK, którzy — nie mając na to resortowej normy — chronili się przed zimmem, deszczem lub błotem za 22.610 zł. Bezpodstawne było także uzupełnienie wkładu mieszkaniowego dla obywatela Królikowskiego w kwocie 14.200 zł. Ogólna suma tych bezprawnych i bezpodstawnych wydatków zamyka się kwotą 100.926 złotych i 75 groszy, jaką solidarnie i dobrowolnie miały uregulować Ob. Irena Szych — dyrektor i Ob. Zofia Szubzda — główny księgowy. Sto

tysięcy złotych w 1970 roku to była kwota zasługująca na szacunek. Bezprawie i bezpodstawność wykryte w WDK nie spowodowały jednak żadnego uszczerbku w stanie posiadania obywatelki Szych i obywatelki Szubzdy, bo:

- stołówkę, po tysiąc złotych miesięcznie, finansowano w oparciu o decyzję Rady Zakładowej i Uchwałę Rady Ministrów nr 402 z 10 grudnia 1963 roku;

- koszty konwersatoriów i seminariów pokrywano w oparciu o Zarządzenia Ministra Finansów z 12 lipca 1965 roku i Zarządzenie Ministra Kultury i Sztuki nr 92 z 21 lipca 1966 roku;

- koszt odzieży ochronnej sfinansowano w oparciu o Zarządzenie Ministra Kultury i Sztuki nr 70 z 2 marca 1966 roku, oraz w oparciu o decyzję Wydziału Kultury PWRN z 5 listopada 1968 roku;

- natomiast o uzupełnieniu wkładu dla obywatela Królikowskiego zadecydowali: kierownik Wydziału Kultury PWRN, zastępca przewodniczącego Prezydium MRN oraz Sejm PRL, który uchwalił ustawę pod nazwą „Prawo lokalowe”.

Na barierze ochronnej utworzonej z uchwał, zarządzeń i decyzji, wzmocnionej zdaniem ówczesnego ministra Garsteckiego — „czego pani się martwi? Przecież pani nie kradła” — i podpartej merytoryczną zasadnością bezprawnych i bezpodstawnych rzekomo wydatków — rozbiły się wszystkie zgniłe pomidory, jakimi próbowano ugodzić Szychową. Ostatni, podany jej przez ówczesnego kierownika Wydziału Kultury PWRN, Łucję Jakubowską — „pani może dalej kierować WDK-iem, ale niech pani zwolni kierowniczkę administracji” — przyjęty nie został.

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymała Irena Szychowa za działalność społeczną w Komitecie Osiedlowym na Starym Mieście.

V. PRZESŁANIE DLA WNUKA

Kiedy wchodzi kolejny interesant stawiam kreskę. Kiedy Irena Szychowa przypala kolejnego papierosa stawiam krzyżyk. Kiedy interesant obdarowuje Irenę Szychową kwiatkiem rysuję kółko. Po trzech godzinach mam 18 kresek, 7 krzyżyków i jedno kółko.

Pierwszy zgłosił się wąsaty-kudłaty i rozmawiali szeptem, bo siedziba Komitetu Osiedlowego przy Rynku 13 to jeden pokój, w którym jest szatnia, poczekalnia i gabinet. Dlatego i kobieta, druga w kolejności, szeptem opowiada, że on ją ciągle bije. Pełnym głosem natomiast mówi pani Bronia, bo pani Bronia działa w Komitecie. „Gruźlica, mówię pani, aż szumi”. Błado-sina gruźliczka w klapkach i białych skarpetkach dodaje spod ściany, że w sześćdziesiątym dziewiątym miała wrzód żołądka, w siedemdziesiątym dziewiątym wodę w płucach, a teraz, jak ona ma być leczona, to co zrobi się z dziećmi, bo jest ich troje i jak się leczyć, jeżeli z sanatorium trzeba znowu wrócić do tej nory. Siedzące w pobliżu stołu panie smutnieją, oczekujący w kolejce też. Nie na długo jednak, bo jest interwencja w sprawie pani Czubek. Pani Czubek ma to do siebie, że przez całą noc stuka, a szczególnie dookoła pieca wali prętem w podłogę, bo mrozi ją tajemniczymi promieniami sąsiad z dołu. I następną: „proszę pani, bije mnie”. I następny: „proszę, pani ja w tej norze dłużej z rodziną nie wytrzymam”. I ona: „on pije, syn w więzieniu, dzieci tyła — ja by prosiła...”. I on: „sprawa jest w sądzie, ale przeciąga się...” I ta ostatnia szczebiotka: „ja nic z pani rejonu, ale wiem, że pani jest skuteczna i przyszłam. My wynajęliśmy strych od chłopaka, daliśmy 48 tysięcy za

rok z góry, a chłopak prysnął. Pan z MZBM przyszedł i powiedział żebyśmy się wynosili, bo na ten strych miała przydział babcia tego chłopaka, ale babcia zmarła i teraz nikt nie ma przydziału. Milicjanci przychodzą o 5 rano, wypytują, a my co? My nic nie wiemy co jest z tym chłopakiem. Wody też nie ma, gazu nie ma, światło jest, no i dach nad nami też jest. Ja pracuję, a mąż jest studentem na drugim fakultecie. Tym razem na filozofii”.

Następnego dnia, w mieszkaniu Ireny Szychowej na Starym Mieście, po kartoflance a przy dobrej kawie, sporządzam konspekt do ostatniego rozdziału z życiorysu panny, madonny, legendy tamtych lat.

Rozdział pod tytułem „Zamek” mam właściwie zamknięty. Potrzebne jeszcze drobne retusze, małe uściślenie i to wszystko.

Rozdział pod tytułem „Na Starym Mieście” wymaga uzupełnień. Przede wszystkim o odpowiedź na pytanie „dlaczego”?

— Właśnie: dlaczego pani przyjechała to Stare Miasto? Tu wprost gęsto od pijaczków, kurewek, złodziejasków, narkomanów i wachaczy butaprenu. Statystyki obrazujące przestępczość w Lublinie i charakteryzujące środowiska kryminogenne aż krzyczą.

— No! Właśnie dlatego.

— Wiedziała pani od samego początku co to jest?

— Wiedziałam. Do mnie, „na Zamek”, przychodziły dzieci z tej dzielnicy, bo blisko. Poprzez dzieci poznawałam rodziców. Widziałam tę zapyziałą, a tak historycznie bezcenną architekturę i tych ludzi, którym trzeba podawać rękę szczególnie często. Wydało mi się więc, że mogę tu być potrzebna i tak mi minęło lat dwadzieścia jeden.

— Tyle co od urodzenia do wylądowania w Szkocji?

— Słucham?

— Nie, to tylko wtęret. Potwierdziła się potrzeba pani obecności w tej dzielnicy?

— Widział pan wczoraj, a tak było przez wszystkie dni i lata, pomimo że często jestem bezsilna, bezradna, za mała.

— Bez żadnych większych przykrości?

— A dlaczego by nie? Z okazji dwudziestolecia mojej działalności w samorządzie osiedlowym spotkało mnie dochodzenie prokuratorskie. Po prostu wpłynął anonim, że biorę łapówki. Przykro było trochę, ale, wie pan, samowole dzielą się na te drańskie i te popełnione z rozpacy. Nie wiem jaka mnie znowu dopadła, ale finał jest dość zabawny. Otóż przedtem nikt mi nie proponował łapówek ani prezentów. Po zakończeniu dochodzenia i oczyszczeniu z zarzutu — propozycje takie pojawiły się od razu. W praktyce więc teraz sprawdzam, że nie biorę. Co jeszcze chce pan wiedzieć?

— Dlaczego?

— No, przecież już było o tym.

— Ale...

— Niech pan nie kończy. Ja po, prostu naprawdę uważam, że „socjalizm nie robi za ciebie porządku w twoim pokoju”. To cytat. Ja naprawdę lubię wiersz „Mali pomocnicy”. I ja rzeczywiście wierzę we Front Jedności Narodu Przyzwoitych Ludzi, bo oni są i byli. To idzie transmisją przez pokolenia, a w sprzyjających warunkach może się sublimować i wzmacniać. To właśnie ludzie z tego Frontu przez swoje małe buntowanie się, przez małe przewycięzanie trudności i pilnowanie, aby w ich obecności nie robiono świństw decydują o tym, że...

— Proszę, niech pani skończy.

— Wychodzi mi manifest, ale niech będzie. Otóż chciałam powiedzieć, że dzięki takim ludziom jest Polska, ale to zbyt patetyczne. Nie lubię. Natomiast z całym przekonaniem mogę panu wyznać, że w całym bałaganie mojego życia jest chyba jedna, logiczna nić: służyć ludziom. Odkryłam ją jako przedwczesny szef plutonu, jakim zostałam z tego chyba tylko powodu, że nie mogłam znaleźć tej nici u mojej poprzedniczki.

— Pani Ireno...

— Tak.

— Jest jeszcze rozdział trzeci do uzupełnienia. Sprawy rodzinne.

— Och, to bardzo moje, takie nie po kolei. Najpierw miałam syna, potem wnuka, a potem wyszłam za mąż. Ale to też nie po kolei. Najpierw miałam mieszkanie na Głowackiego, ale ponieważ Księżcy nie mieli mieszkania i gnieździli się w takiej dziurce na Zamku, no to ja oddałam im swoje. W dziurce natomiast zamieszkałam ja i mój wnuk. Ale to też nie po kolei, bo przecież najpierw musiał być syn. Otóż moim synem jest chłopiec z zamojskiego domu dziecka, który tam, w Zamościu, przeżył biedę dzieciństwa. Przeżył tyle, że wystarczy. Całkiem niedawno wrócił z zagranicy, po wielu latach nieobecności w kraju, a mój ukochany wnuk — może wróci? Zawsze bardzo dużo mamy sobie do powiedzenia, a kiedyś, kiedy będę już niedołączna, chciałabym usiąść i opowiedzieć mu o sobie. Nie, nie twarzą w twarz, ale nagrać mu to wszystko na magnetofon i zatytułować „mój ukochany nieprawdziwy wnuku”. Tylko dla niego.

— Czy on to przyjmie i zrozumie?

— O! Zapewniam pana: on — tak.

Pierwodruk: „Zdanie”, nr 5/1985